

LOT  
NISKO  
NAD ZIEMIĄ

Ałbena Grabowska

LOT  
NISKO  
NAD ZIEMIĄ

Odkąd pamiętam, ojciec powtarzał mi, żebym się niczym nie wyróżniała. Najlepsi ludzie, wygłaszał tyrady do znudzenia, to tacy, których nie zauważamy. Rodzą się, żyją, umierają, a my o tym nawet nie wiemy. Uznawał w tym zakresie, owszem, wyjątki, na przykład najbliższą rodzinę i sąsiadów. Czasami niektórych kolegów z fabryki, z którymi wdawał się w dyskusje na tematy quasi-egzystencjalne. Dla reszty świata powinniśmy być zupełnie niewidzialni, upierał się. Kochałam ojca i uważałam, że to, co mówi, ma głęboki sens. Przecież dawał dobry przykład, sam przemykał przez życie niezauważany, dzięki czemu, jak twierdził, unikał wielu przykrych wyborów i sytuacji. Nie rozumiałam, że jego wyborem była właśnie sama ucieczka, a wszystkie wygłaszane dysputy o wybojach życiowych i dylematach były niczym innym jak usprawiedliwianiem własnej niemocy. Kiedy odkryłam, że jego filozofia oparta jest na kruchych fundamentach strachu przed życiem, było już za późno. Stałam się już zakompleksioną nastolatką, która nie miała pomysłu ani na wybór zawodu, ani nawet jakichś specjalnych marzeń. Zresztą ojciec i matka nie mieli marzeń. Nie czuli nawet specjalnej potrzeby wymagania, aby dostać od życia coś, co może im się powinno należeć. Tyle razy wysłuchiwałam ciotki Katarzyny, która przychodziła do nas od święta, i powymyślałszy smutnym

wzrokiem nasze równie smutne kąty, mówiła niezmiennie, że należy nam się od życia więcej. To była ukochana siostra ojca, więc długo myślałam, że może to „więcej” nie stoi w sprzeczności z byciem niezauważalną. Może nawet mogłabym być bardziej niezauważalna, byleby mieć więcej możliwości w tym zakresie. Bo co to za różnica, czy wtopię się w tłum szaraków, czy kolorowych ptaków. Czasami tak sobie myślałam po wizytach ciotki, ale żeby coś się zmieniło w mojej rodzinie, musiałyby zajść jakieś dodatkowe okoliczności. Na przykład kataklizm, który zmiotłby z powierzchni ziemi nasz szarobury dom albo moją matkę, albo najlepiej ojca. Wtedy inni musieliby zauważyć nasze nieszczęście. Bo też, analizowałam bez końca, co to za różnica, czy cię nie zauważą, bo nic się nie dzieje, czy też nieszczęście, jakie człowieka spotyka, wpływa na to, że inni wreszcie widzą twoją marną egzystencję. Oczywiście duszy widziałam ten tłum ludzi – albo chociażby małą ich grupkę – która rusza z odsieczą i funduje mi całkiem nowe życie. Sama oczywiście nie robiłam w tym kierunku zupełnie nic. Fantazjowałam tylko o kataklizmie, jaki spotyka naszą rodzinę, zmieniając typy nieszczęść i uszkodzone osoby. Przestałam fantazjować, kiedy w bloku tuż obok wybuchł gaz. Miałam dziesięć lat i poczułam, że to rażąca niesprawiedliwość, że gaz wybrał sobie blok położony tuż obok. Właśnie czegoś takiego szukałam swoim nawet nie nastoletnim jeszcze jestestwem. Nieszczęścia, które spowodowałyby, że mówiono by o nas, o mnie w szczególności. Mogłam na przykład stracić rodzinę i jako biedna sierota żyć sobie całkiem wygodnie pod troskliwym okiem dobrych ludzi. Ale to nie nastąpiło. Tamten wybuch był tak skuteczny, że zmiotł z powierzchni ziemi dwa mieszkania wraz z mieszkańcami. Nieszczęście miało miejsce w niedzielę, tuż przed dziesiątą rano. Zginęły trzy osoby. Dziwne, ale nikogo z nich nie znałam. Z zaciekawieniem, razem z innymi dziećmi, obserwowaliśmy akcję ratunkową i nawet autorytet władzy w postaci milicji obywatelskiej

oraz strażaków nie był w stanie nas przepędzić. Potem na trzepaku analizowaliśmy z błyskiem w oczach sylwetki osób dotkniętych nieszczęściem. Zginęło ciche małżeństwo, które mieszkało razem z upośledzonym synem, oraz starsza pani – sprawczyni nieszczęścia. Jej zaniki pamięci i prawdopodobne zażnięcie podczas gotowania mleka albo wody spowodowały ulatnianie się gazu i wreszcie wybuch. Tylko kilka dni trwała sensacja. Mówiło się o tym, kim ci ludzie byli, w okolicznych sklepach i na korytarzach szkolnych. Ale ponieważ ofiary były zupełnie nieatrakcyjne fizycznie i osobowościowo, te rozmowy szybko się skończyły. Raz z dziećmi widzieliśmy komisję oceniającą straty i ekipę budowlaną, która przyjechała remontować nadwyrężony dom. Na podwórko wjechała ciężarówka i kilku panów z kilkudniowym zarostem, z obowiązkowymi ekstra mocnymi między poźółkłymi zębami, wypakowało materiały budowlane. Były to głównie worki z cementem, jakieś rury oraz coś, co sprawiło, że zostałam ukarana za swoje fantazje. Wyglądało to jak gruby wąż, z którego sterczała wata. Po kryjomu podeszłam do węża i urwałam solidny kawał, licząc, że przyda mi się takie coś, żeby wyścielić łalce łóźeczko. Moja lalka miała szyte przeze mnie koślawe ubranka i wyścielane podpaską wyproszoną u matki łóźeczko, ale ta wata była bardzo piękna. Migotała białymi kryształkami niczym brylancikami, które miały na włosach i ubrankach lalki z Peweksu. Skąd miałam wiedzieć, czym jest szklana wata i jak bardzo bolą mikroskopijne kryształki wbite pod skórę. W dodatku nie mogłam przyznać się rodzicom. Kto wie, czy mój ojciec nie zakwalifikowałby tej waty jako kradzieży i miałabym serię wykładów na temat straszliwego wpływu urywania kawałka waty szklanej, bo chciałam mieć ekstrałóźeczko dla lalki, na przyszłość niewinnej dziewczyny, pod tytułem: od łyczka do rzemyczka lub od szklanej waty do trzcinyowej maty. Może nawet mama wciągnęłaby się w rodzinne umoralnianie i poszła modlić się do kościoła za moją grzeszną

już w tak młodym wieku duszę. Dość, że waty pozbywałam się kilka dni sama. Ręka mi prawie uschła od tarcia szorstką gąbką w nadziei na samoczynne usunięcie się szklanych igieł. Wreszcie wyszły razem ze skórą. Trwało to kilka dni, tyle samo, ile ludzie przeżywali tę tragedię. Analizując całą sprawę, doszłam do wniosku, że jednak dobrze, że to nieszczęście nie przydarzyło się mnie. Pies z kulawą nogą nie zainteresował się osieroconym, niedorozwiniętym chłopakiem. Mówiono, owszem, że nieszczęście i gdzie on teraz pójdzie, ale przede wszystkim, że dla rodziców lepiej, bo kto by takie coś chciał do opieki, kiedy rodziców braknie. Mówili o nim jak o zawadającym przedmiocie. Nawet nie wiem, kto i dokąd go zabrał. Ja byłam zdrowa i pozornie niczego mi nie brakowało, ale sądzę, że zostałabym zaliczona do grupy „takie coś”. Nie sądzę, żeby wzięła mnie ciotka Katarzyna, babcia umarłaby na zawał po kilku dniach, bo jakoś nie lubiła dzieci, nawet jeśli były własną wnuczką, dalsza rodzina także nie sądzę, żeby się mną zainteresowała. A obcy ludzie? Na pewno nie wzięłoby mnie bezdzietne bogate małżeństwo, które kupowałoby mi wszystko w Peweksie i wozilo na wczasy do Bułgarii. Byłam tego pewna. Doszłam więc do wniosku, że nie tędy droga i postanowiłam zacząć od nowa myśleć, jak by tu poprawić swój byt.

Z przedszkola niewiele pamiętam, może tylko to, że nie znosiłam mleka, ale posłusznie łykałam łyżka za łyżką, bo pani o groźnym spojrzeniu kazała jeść kaszę mannę wszystkim dzieciom. Dzieci, które sprzeciwiały się groźnej „proszę pani”, mogły liczyć jedynie na przedłużone leżakowanie albo nawet klapsa. Nie wyróżniałam się zatem. Nie przedłużano mi leżakowania, gdyż jadłam buraczki i piłam zimne mleko, odsuwając językiem wstrętne cienki kozuch. Ale nie byłam także dzieckiem nagradzanym w jakikolwiek sposób. Nie należałam do grona szczęśliwców dostających w nagrodę batonik czy mogących bawić się lalkami, które mrugały oczami, podczas kiedy reszta przedszkolnego plebsu udawała, że śpi

na niewygodnych leżakach. W wieku pięciu lat małym, ale wypranym już mózgiem umiałam się nie wyróżniać, co podobało się ojcu. Matka także przytakiwała głową. Sama sztukę bycia przezroczystą opanowała do perfekcji już przed moim narodzeniem. Ojciec zresztą trafił na podatny grunt, poślubiwszy osobę po zawodówce krawieckiej, w dodatku niespecjalnie uzdolnioną manualnie, zupełnie pozbawioną fantazji i – co rzadkie dla kobiety – ślepą na kolory. Z tego powodu matka nie pracowała w zawodzie, zresztą nie można było na nią liczyć ani przy szyciu kostiumów na bal, ani też zwyczajnych ubrań. Nawet zwężenie spódniczki czy przeszycie suwaka stanowiło dla niej problem. Pracowała w mojej szkolnej stołówce, najpierw jako pomoc, następnie jako prawie kucharka, gdyż nie miała uprawnień zawodowych. Cenili ją jednak; marchewkę z groszkiem i kotlety mielone robiła jak należy, kompot z owoców także trzymał rzadkie, fusowate standardy. Taką ją pamiętam, w białym fartuchu, czepku z siateczką oraz ohydnych, sznurowanych płócienniakach. Kiedy odbierałam obiady z okienka, jej przyciężka sylwetka migąła mi w tle. Rzadko bywało tak, że musiała sama wydawać porcje na talerz. Wtedy uśmiechałam się lekko, a jej usta krzywiły się w grymasie, który miał niby oznaczać, że jestem kimś innym niż setka dzieciaków kłębiąca się w kolejce. Nie wiem, czy powiedziała innym kucharkom, że jestem jej córką. Ja swoim koleżankom o tym nie mówiłam, aż na którejś lekcji polskiego, kiedy przyszło do mówienia, kim są z zawodu rodzice, powiedziałam zgodnie z prawdą, że mama jest krawcową, a ojciec pracuje w magazynie w dużej fabryce. „Popatrz, popatrz”, zdziwiła się polonistka, „a ja myślałam, że twoja mama jest kucharką...”. „Nie”, zaprzeczyłam pospiesznie i dodałam z naciskiem: „Jest krawcową”. Miałam wtedy nadzieję, że polonistka nie powie, że mama pracuje w naszej szkolnej stołówce. Ale powiedziała, dodając, że my, dzieci, zawdzięczamy mojej mamie te wspaniałe obiady, o które codziennie staczamy bój na dużej

przerwie i to zdrowie na talerzu oraz troskę i serce. „Serce na talerzu”, powtórzyła, patrząc radośnie na znudzonych piątoklasistów. Skuliłam się wtedy w ławce, przestraszyłam ewentualnych pytań ze strony koleżanek, ale nic takiego nie nastąpiło. Obiady były takie sobie, ani dobre, ani niesmaczne, jak to w przeciętnej podstawówkowej kuchni, nie było czego komentować. Matka kucharka to nie była ani żadna atrakcja, ani powód do kpin, żeby ktokolwiek miał coś komentować. A i ja byłam wtedy tak przeciętna, tak niezauważalna, że nikomu z ponad trzydzieściorga dzieciaków z mojej klasy nie chciało się nawet zastanawiać, czy z taką informacją można cokolwiek zrobić. Dzieci nie rejestrowały na co dzień mojego istnienia. Nie byłam najlepszą uczennicą, aczkolwiek bez większych problemów pisałam klasówki i dbałam, żeby żadnemu z nauczycieli nie podpaść. Nie odpisywałam zadań domowych od innych i ode mnie też nie odpisywano. Nie wybierano mnie do drużyny w siatkówkę, ale też i zasadniczo nie pomijano. Słowem, dobrze odrobiłam lekcję wbijaną do głowy przez tatusia. Z wyróżnieniem, można powiedzieć.

W ósmej klasie ojciec i matka zaczęli rozmawiać ze sobą na temat tego, jaką szkołę ponadpodstawową dla mnie wybrać. Matka jak zwykle nie miała zdania, ojciec jak zwykle był pewien swego. Według niego idealną szkołą dla mnie byłoby liceum kolejarskie. Mnie o zdanie naturalnie nie pytali. Słuchałam tej rozmowy, w której nie padało nawet moje imię, tylko „ona” musi, „ona” powinna, i zaczęłam wtedy po raz pierwszy zastanawiać się nad tym, czy ja mam jakiegokolwiek prawo wyrazić zdanie na temat własnej przyszłości. Wreszcie podniosłam się ciężko z tapczanu, na którym spałam, ominęłam wspólną szafę i pokonawszy w dwóch krokach przedpokój, stanęłam w ciasnej, ślepej kuchni, gdzie toczyła się dyskusja.

– Chciałabym iść do liceum – powiedziałam. – Nie znoszę pociągów – dodałam ciszej. – Niedobrze mi w nich. Wymiotowałam, kiedy pojechaliśmy z wycieczką do Zakopanego...



Rzygałam całą drogę...

Ojciec umilkł i popatrzył na mnie, jakby mnie pierwszy raz widział na oczy. Matka opuściła głowę. Żadne nie zwróciło mi uwagi, że nie mówi się „rzygać”.

– Mówimy o twojej przyszłości – wygłosił patetycznie.

„W rzeczy samej, ja też o tym mówię”, nie dodałam na wszelki wypadek, a zamiast tego powiedziałam:

– Tato, kolej to nie ma jakiejś takiej przyszłości... Sam nie lubisz pociągów...

W rzeczy samej ojciec pociągów nie znosił. Nie cierpiał zresztą żadnych pojazdów mechanicznych, nawet samochodu. Był rzadkim okazem mężczyzny bez prawa jazdy i bez własnych czterech kółek.

– A co po tym liceum zrobisz? Nic nie zrobisz...

– Po liceum jest wiele możliwości – wyliczyłam jednym tchem. – Mogę skończyć potem kursy biblioteczne i zostać bibliotekarką. W każdej szkole mnie przyjmą... Albo – dodałam, widząc grymas na twarzy ojca – kursy na przedszkolankę, albo do żłobka... A ta kolej...

– Wieczorek mówił, że na kolei są perspektywy – przerwał mi ojciec.

Miałam ochotę przekląć Wieczorka, kimkolwiek był. Ale powiedzenie, że jakiś Wieczorek nie będzie mną rządził, nie było najlepszym pomysłem. Rzeczony Wieczorek mógł być na przykład idolem ojca, królem kamuflażu, przeciętności i obrażanie go mogło mnie wsadzić do pierwszego wagonu kolejowego, zanim zdążyłabym zaśpiewać: „Wsiąść do pociągu byle jakiego...”.

– Mamo – powiedziałam. – Pracowałabym w szkole, tak jak ty...

Spojrzałam na nią z nadzieją. Matka podniosła głowę, przestając oglądać popękaną od częstego mycia skórę rąk, i popatrzyła nie na mnie, ale na ojca. W tym spojrzeniu kryła się dezaprobata. Matka nie lubiła dzieci. Do szału doprowadzał ją krzyk na przerwach i cierpiała fizycznie, widząc niedojedzone

resztki obiadów na talerzu. Myśl, że miałyby mi pomóc w uzyskaniu pracy w szkole, musiała być dla niej przerażająca. Jeśli jej na mnie zależało, raczej wsadziłyby mnie do tego pociągu i kazała wysiąść jak najdalej od rodzinnego domu.

– Weronisiu – zdecydowała się jednak odpowiedzieć. – My z ojcem chcemy dla ciebie dobrze.

– Ale wiem, mamusiu – powiedziałam szybciotko. – Tylko ja proszę bardzo, żeby nie na kolei...

Nie po kolei chyba mieli w głowie. Ale moja interwencja przyniosła skutek. Ojciec przemyślał kwestię, przegadał sprawę z Wieczorkiem, ja trochę dopomogłam losowi, dość, że zgodził się na to, żebym poszła do liceum. Chciałam zrobić mi przyjemność i wybrałam przeciętną szkołę, która była najbliższej domu; ani to było renomowane liceum, ani jakoś specjalnie znane. Złożyłam papiery do klasy ogólnej, żeby nadal hołubić w sobie tę przeciętność. Chociaż tyle byłam winna ojcu.

12

Jeśli spodziewałam się jakiegoś zwrotu w swoim piętnastoletnim życiu, a po cichu miałam jakąś nadzieję, to zupełnie się pomyliłam. Trafiłam do klasy żeńskiej, gdzie poza mną chodziło jeszcze dwadzieścia pięć dziewczyn grubych, chudych, czarnowłosych i jasnowłosych, bogatszych, biedniejszych... Słowem: nieprzeciętnych w swej przeciętności. Podobnie jak ja szarych i z góry skazanych na byle jakie życie. Chociaż nie, była jedna taka Anka, kolorowy ptak, można powiedzieć. Jej ojciec pracował w Szwajcarii, a mama chodziła w dżinsach. Poza tym Anka wyjeżdżała za granicę na wakacje i miała dwa komplety kurtek dżinsowych ze spodniami, kupionych w Rembertowie na targu. Ankę można było podziwiać i po cichu jej zazdrościć. Dla mnie ciuchy nie miały specjalnego znaczenia, chociaż nie, w stosunku do tureckiego dżinsu odczuwałam pewne nieodwzajemnione pożądanie. Poza tym Anka była zwykłą nastolatką, migała się od nauki i snuła na przerwach opowieści, jak to po skończeniu tej „budy” wyjedzie z kraju. Na mnie te opowieści nie robiły specjalnego wrażenia.

Ale z liceum pamiętam właśnie ją. Anka wyjechała tuż przed maturą, tak jak zapowiadała. Nic pewnego o niej nie wiem, ale słyszałam, że zrobiła karierę. Pewien rodzaj kariery. Nie wiem, czy to złe języki, czy rzeczywiście była w Stanach pokojówką u bogatego staruszka. Może to nie była kariera na miarę Pia-seckiej-Johnson, bo Anka ani jej inteligencji, ani determinacji nie miała, ot, zwykle wygodnictwo, ale faktem jest, że kiedy jej pracodawca zmarł, to Ance dostała się niezła sumka oraz jego syn. Tu jej się poszczęściło jeszcze bardziej, ponieważ tuż po ślubie zastała synalka z prostytutką w łóżku i rozwód sporo go kosztował. Takie krążyły plotki. Czasem myślę, czy nie spróbować znaleźć jej w internecie, ale boję się, że mnie nie pamięta albo nie będzie chciała przyznać się do mnie. Może kiedyś.

Już w trzeciej klasie liceum wiedziałam, co chciałabym robić w życiu. Nie mówiłam na razie o tym ojcu, z obawy, że powiedziałby z zasady „nie”. Jeszcze musiałam z nim negocjować wszelkie życiowe decyzje. Nie byłam ani trochę samodzielna. Nie stać mnie było na to, żeby trzasnąć drzwiami i odejść do własnego życia. Kontynuowałam więc swój domowy lot nisko nad ziemią i niewykryta przez radary ojca leciałam ku własnej przyszłości, wyobrażając sobie, że będzie świetlana. Tak, ciągle brałam pod uwagę jego zdanie. Matka nie liczyła się zupełnie. Sama wyprowadziła się z mojego życia, kiedy zaczęłam uczyć się w liceum. Wpadała na krótkie chwile, żeby powiedzieć, że mam bałagan w pokoju albo że zasypiam przy zapalonym świetle. Ja kiwałam głową, sprzątałam, gasiłam światło, a kiedy znajdowała nowy, błahy pretekst, typu odkryty ser w lodówce albo nieporządnie zasłonięte masło, z pieśnią na ustach odsłaniałam, zasłaniałam, myłam, ścierałam, co tylko chciała. Usypiało to jej już i tak słabą czujność. Miałam spokój na kilka tygodni. Czasami zastanawiałam się, jak można żyć pod jednym dachem, ba, na czterdziestu dwóch metrach kwadratowych, i kompletnie nic o sobie nie wiedzieć.

Leżąc w łóżku, snułam rozmyślenia o własnym przedszkolu, którego będę kierowniczką, gdzie będą chodziły moje własne dzieci, nie będzie mleka na śniadanie, wrzeszczących wychowawczyń oraz obleśnego pana woźnego. Tak miała wyglądać moja przyszłość. Chciałam zostać przedszkolanką. „Będę miała dużo dzieci”, powtarzałam sobie przed snem, „własnych dzieci i cudze też będę uczyła. Zadam kłam stwierdzeniu: »Obyś cudze dzieci uczył«, będę skrzyżowaniem doktora Korczaka z Astrid Lindgren”. Wierzyłam, że moje przedszkole będzie jasne, kolorowe, pozbawione przerażających plakaczków na ścianach rysowanych przez znudzone panie wprost z książek z bajkami. Jedzenie będzie pyszne, przyprawione, kolorowe, nie będzie fusowatych kompotów ani zsiadłego mleka, a przede wszystkim budyniu. Boże, jak ja nienawidziłam budyniu. Tej okropnej żółtej skórki zalanej rzadką konfiturą. Mama mnie raczyła tym wątpliwym deserem z braku umiejętności pieczenia ciast. Tyle razy mówiłam, że tego nie lubię, a ona tylko zmieniała kupowane torebki, jeśli nie śmietankowy, to waniliowy. „Nie smakuje?”, pytała oczami. Kupowała zatem wiśniowy, truskawkowe obrzydlistwo, migdałowy, po którym długo wymiotowałam. Nie, w moim przedszkolu nie będzie jedzenia, którego ja jako dziecko nie lubiłam. No, chyba, myślałam, patrząc na sufit z zaciekami po zalaniu, chyba że jakieś dziecko uwielbia mleko i buraczki albo gorzką sałatę zieloną ze śmietaną tudzież twarożek bez soli. Do picia będą soki, a nie kompoty, analizowałam podczas kolejnej bezsennej nocy, na deser ciasto, a nie budyń ani nawet galaretka. W tamtych czasach nie było prywatnych przedszkoli, więc i ja nie widziałam siebie w roli właścicielki takiej placówki, ale jej dyrektorki i administratorki. Oraz *osoby cudownej*, którą dzieci kochają. Takie miałam właśnie marzenia. Pierwsza myśl o własnej placówce wychowawczej przyjaznej dziecku pojawiła się, kiedy zostałam nakarmiona pastą jajeczną przez panią Danusię, a potem ukarana przedłużonym leżakowaniem, kiedy

na nią zwymiotowałam. Uprzedzałam lojalnie, że pasta dziwnie pachnie i lepiej jej nie próbować. Jeszcze dwoje dzieci zwymiotowało zaraz po mnie, ale dopiero wtedy, kiedy wymioty popaściane stały się udziałem trzech czwartych grupy, pani Danusia poszła awanturować się do kucharek, a ciocie salowe zaczęły nas myć i przebierać. Miałam swoje kilka minut triumfu, ponieważ sądziłam, że pani Danusia uzna moje racje, a kto wie, może nawet przeprosi. Nic takiego jednak się nie stało. Pierwsza wymiotująca trójka poszła od razu na leżaki, nie za karę, tylko żeby odpocząć i nabrać sił. Prawdopodobnie żeby oddać dziecko rodzicowi w jako takim stanie. Kolejne dzieci dołączyły do nas chętnie, ponieważ diabelsko źle się czuliśmy i muliło nas okropnie. Te, które nie wymiotowały, miały fart, gdyż nie zdążyły pasty jajecznej tknąć ani nie zostały nią nakarmione. One mogły nie leżakować, tylko bawić się zabawkami. Pani Danusia pozwoliła nawet wyjąć nowe lalki ze szklanej gabloty. No cóż, takich przykładów mogłabym wymieniać mnóstwo. Przyznaję się także do fantazjowania na temat tego, w jaki sposób można panią Danusią uśmiercić. Chciałam zgotować jej śmierć w męczarniach, na przykład mogłaby wpaść do kotła z ohydą zupą albo zostać porażona prądem z gniazdek, które pan woźny z rezygnacją wkręcał, a pani Danusia wrywała razem z kablem odtwarzacza, na którym puszczała nam okropnie nudne słuchowiska. Padłaby wtedy – słusznie zresztą – ofiarą własnej głupoty i niechlujstwa. Kiedy byłam już dorosła, dowiedziałam się, że pani Danusia skończyła żywot w sposób gwałtowny, i to właśnie prąd był temu winien. Otóż suszyła głowę w wannie. Suszarka wyszłiznęła jej się z mokrych rąk i niewiele było po pani Danusi do zbierania. Swoją drogą moje fantazje na temat ugotowania w zupie i porażenia prądem znalazły zadziwiające ujście. Zastanawiałam się nawet, czy nie ma w tym jakiejś mojej winy. Ale wtedy, kiedy to się stało, kobieta była już na emeryturze, wychowała zatem rzesze podobnie jak ja niewdzięcznych przedszkolaków

i co najwyżej nasze skumulowane jak najgorsze życzenia pozbawiły ją życia. Czyli odpowiedzialność była zbiorowa. A jeśli winni są wszyscy, to nikt nie jest winny. W komunie obowiązywała taka zasada, podobnie jak głębokie przekonanie ludzi, że jeśli wszystko jest nasze, to można brać, niszczyć, ale nie ma obowiązku chronić ani dbać. I tej myśli postanowiłam się trzymać w kwestii ewentualnych wyrzutów sumienia.

16

Pan woźny Władysław Kikut także występował w moich fantazjach, ponieważ bardzo lubił małe dzieci płci obojga, chociaż zdecydowanie bardziej preferował dziewczynki. Przejawiało się to na szczęście głównie w gapieniu się na nas, chociaż nie stronił od głąskania nóżek Renatki i Grażynki, które miały złote włoski i dołeczki, kiedy się uśmiechały. Moją nóżkę także raz pogłąskał podczas leżakowania. Zdarzyło mi się, jak rzadko, przysnąć i nagle poczułam szorstką rękę Kikuta. Wrzasnęłam wtedy i zerwałam się z leżaka, co mnie kosztowało przedłużone leżakowanie, ale Kikut został przepędzony przez panią Danusię i panią Irenkę, które wprawdzie nie słyszały o pedofilach, a Kikut nie był w ich oczach tak obleśny jak w naszych, ale sprawił, że dzieci się powybudzały i trzeba było wcześniej proponować im różne zajęcia. Kikut omijał nas długo szerokim łukiem, mlaszcząc jedynie i zerkając spod kaprawego oka, kiedy naprawiał coś na sali. Żółte od tytoniu wąsy mu się trzęsły, ilekroć Renatka albo Grażynka znikwały za drzwiami ubikacji, a on nie mógł tam wejść pod pretekstem dokręcenia żarówki. Pamiętam, że kiedyś miała miejsce zabawna sytuacja z woźnym w roli głównej. Szliśmy z rodzicami do kościoła i u wrót natknęliśmy się na Kikuta. Schyliłam głowę, żeby mnie nie poznał, ale mój ojciec, zakrzyknawszy: „Władziu!”, zaczął go ścisnąć, po czym przedstawiać swoją małżonkę oraz córeczkę. Władzio wycisnął mokry pocałunek na rękę mojej matki, która całkiem prawidłowo się wzdrygnęła i typowo dla niej zaczęła patrzeć w bok. Ojciec, nie bacząc na nacierający do świątyni tłum, wypytywał, jak się okazało,

dawnego kolegę z wojska, co robi w naszym mieście. Władzio, który mnie poznał od razu, powiedział, że jest woźnym w przedszkolu i chyba skądś zna tę uroczą dziewczuszkę, pociechę mamusi i tatusia. Ojciec jeszcze raz zrobił z nim misia, obiecał, że się któregoś dnia wybiorą na piwo po fajrancie, i poszliśmy wszyscy na mszę śpiewać „Boże, coś Polskę...” i modlić się o różne rzeczy. Ja wyjątkowo nie modliłam się wtedy o nic, ani o spokój od Kikuta i wypadek pani Danusi, ani o nową lalkę, która mrugała oczami, tylko zastanawiałam się, co taki osobnik robi w kościele. Po mszy ojciec wyjaśniał matce jakieś szczegóły z Kikutowej biografii, których nie mogłam w całości dosłyszeć, ale przewijało się tam słowo „panienka”, które powodowało, że matka przymykała oczy ze zgrozy. Kikuta miałam już z głowy do końca pobytu w przedszkolu. Już na mnie nie spojrział ani nie wywałął oblesnego jęzora w obecności innych dziewczynek. Kiedy trochę dorosłam, uzupełniłam tamtą wypowiedź ojca i zrozumiałam, że w wojsku Kikuta uważano za homoseksualistę. Pewnie czuli, że coś z nim nie tak, ale z braku dzieci do obserwacji postawili najlepszą diagnozę, jaką umieli. Co się stało z Kikutem po przedszkolu, zupełnie nie widziałam. Znajomą, która powiedziała mi o nieszczęściu, jakie „spotkało panią Danusię, tę cudowną osobę, która tak kochała dzieci”, spytałam, owszem, o przedszkolnego woźnego, ale znajoma nie wiedziała nic o losie pozostałych pracowników przedszkola. Pewnie Kikut dożył sędziwego wieku – albo i nie, z takimi jak on nic nie wiadomo.

17

•

Miałam chłopaka w liceum. Nawet całkiem, całkiem na tle innych. Do tej pory nie wiem, czemu chciał chodzić z taką myszą jak ja. Może dlatego, że pochodził z równie niezamożnej rodziny. Miał dwóch starszych braci, którzy byli bardzo

popularni na osiedlu. O ile wiem, żaden z nich nie wyszedł na ludzi, chociaż rokowali nawet lepiej od Maćka, ale to właśnie on pojechał na studia do Gdańska, gdzie uczył się na bardzo obleganym kierunku związanym z oceanami. Myśmy wtedy już nie byli parą, ale kiedy dowiedziałam się, że poznał na studiach Amerykankę polskiego pochodzenia, ożenił się z nią i wyjechał, poczułam ukłucie zazdrości. Podszedł do mnie kiedyś na dużej przerwie na podwórku szkolnym. Było lato, kilka dni do zakończenia roku szkolnego, stopnie wystawione, pełen luz. Siedziałam obok koleżanek wystawiających twarze do słońca, udając, że jestem tam nie obok, ale z nimi, kiedy jedna z najładniejszych dziewczyn w szkole zaczęła wrzeszczeć wniebogłoso. Skakała przy tym i drgała jak paralytyk. Wszystkie rzuciłyśmy się sprawdzać, co się stało. Chodziła jej liszka po nodze, stąd te wrzaski.

– Zabij ją! – krzyczała jedna z najładniejszych.

– Przecież rozgniotę ją na nodze – wrzeszczała druga.

Trzecia proponowała, że pójdzie po wychowawczynię, a czwarta odsunęła się, robiąc mi miejsce. Podeszłam szybko i ręką zdjęłam jej śliczną gąsienicę z nogi. Wrzask zamienił się w pełne obrzydzenia „yyhyyy”. Ja odeszłam na bok, bo nie spodziewałam się żadnych podziękowań, i odłożyłam liszkę na źdźbło trawy przy ogrodzeniu. Wtedy podszedł Maciek i zaczął nawijać coś o tym, że także fascynuje go przyroda, muchy by nie skrzywdził. Odpowiedziałam, że ja owszem, muchy i komary traktuję bez litości, ale ta gąsienica jest piękna. Roześmiał się. Odprowadził mnie potem do domu. Dziewczyny się za nami oglądały, ponieważ Maciek miał kamizelkę dżinsową i chińskie trampki, a na owe czasy to już było coś. Poprosił o chodzenie tydzień później, biorąc mnie za bratnią duszę w kwestii miłości do przyrody. Wtedy przekonałam się po raz pierwszy, że potrafię udawać, jeśli zależy mi na tym, żeby wzbudzić w drugiej osobie zaufanie. Byłam bardzo samotna, nie miałam żadnej koleżanki i chciałam Maćka zatrzymać przy



sobie. Opowiadał mi o różnych zwierzętach zamieszkujących oceany, a ja kiwałam głową i udawałam, że bardzo mnie to interesuje.

– Wiesz – mówiłam, kiedy wracaliśmy deszczowe dni ze szkoły. – Najbardziej chciałabym podróżować...

– Jak każdy. – Maciek ścisnął spoconą ręką moją dłoń.

– Ale ja – zaczynałam przemowę po raz setny – chciałabym podróżować po egzotycznych miejscach i zobaczyć prawdziwe owady...

– Tak lubisz owady? – Mrużył wtedy oczy i wyglądał bardzo ładnie.

– Chciałabym zobaczyć, jak fruwią prawdziwe kolorowe motyle – sprostowałam. – Widziałam w jednym programie na naszym, wiesz, czarno-białym telewizorze... Ale chciałabym zobaczyć je fruwiące naprawdę.

– Podobno są takie wyspy – mówił – gdzie one fruwią w ogrodach i normalnie można je brać do ręki...

– Lubię brać owady do ręki – wyznawałam z rzadka prawdę.

– Jesteś jedyną dziewczyną, jaką znam, która to lubi. – Zatrzymał się, żeby mnie pocałować. – Nawet mój brat nie wzięłby do ręki pająka, a ty się nie boisz...

Całował mnie, jak umiał, widać niewiele miał doświadczeń przede mną, ale doceniałam to, podobnie jak ścisnięcie piersi, przed którym się nie broniłam. Trochę brzydkiła mnie jego ślina, ale to chyba normalne. Lepiej wziąć do ręki owada niż wymieniać się śliną.

– Nie boję się i nie brzydzę, ale nie wzięłabym do ręki takiej ryby trującej...

Kiedy wspominałam o jego pasji, cały jaśniał i zaczynał snuć opowieści o tych rybach, które się nadymają jak balony albo wypuszczają kolce.

– Będziesz nurkował? – pytałam.

– Oczywiście – kiwał głową. – Badacz oceanów musi nurkować. Nie można pracować tylko w sztucznym basenie...

Zastanawiałam się, kiedy delikatnie zwrócić mu uwagę na fakt, że w jego życiu było miejsce na ryby, glony, plankton, ale nie dla mnie. Nawet jego podziw dla mojego udawanego zainteresowania życiem owadów nie skłaniał go do snucia fantazji, że obok delfinów pływamy razem w basenie oceanarium. Co-raz częściej czułam się, jakbym była konkurencją dla wieloryba albo węży morskich, niegodna koralowców ani nawet fiszbin czyścić. Wreszcie któregoś dnia zapytałam o to wprost.

– Maciek, ty mnie całujesz i obściskujesz, ale co się ze mną stanie, jeśli ty wyjedziesz nad ten ocean?

20      Zatkano go. Nie bardzo wtedy wiedziałam, czy dobrze zrobi-  
łam, wypominając mu wymianę śliny i pozwalanie na ugniata-  
nie biustu. Ale to była duża ofiara ze strony uczennicy trzeciej  
klasy liceum. W końcu od ściskania piersi można było dostać  
raka, jak niektórzy mówili. Może nie był oburzony, tylko  
uświadomił sobie, że musiałabym podzielać jego pasję i ma-  
rzyć o spędzeniu reszty życia w wodzie bądź nad wodą. Bądź  
też on musiałby z tych marzeń zrezygnować i podjąć pracę,  
która pozwoliłaby mu być bliżej mnie.

– A co ty zamierzasz robić po szkole? – zapytał.

Czyli jednak rozważał, przynajmniej teoretycznie, że mogli-  
byśmy wyjść poza obmacywanko piersi przez sweterek, bluzkę  
i stanik.

– Będę przedszkolanką – odpowiedziałam, dumnie unosząc  
podbródek.

Spodziewał się pewnie, że powiem o biologii, względnie  
botanice.

– Przedszkolanką? – powtórzył.

– Przedszkolanką. – Uniosłam głowę jeszcze wyżej.

– To wtedy nie możesz ze mną pojechać nad ocean... – po-  
wiedział z niedowierzaniem.

Stanęłam i popatrzyłam mu prosto w oczy.

– Dlaczego? – zapytałam. – Nad oceanami nie ma przed-  
szkoli?

Właściwie dlaczego mnie odrzucał? Przecież nie muszę z nim nurkować, chyba że będę miała na to ochotę, nie muszę pisać rozpraw naukowych o podwodnym świecie, mogę jedynie nosić biżuterię z koralowców. Czy to było dla niego mało?

– Ja nie będę miał dzieci – odpowiedział. – Nie wiedziałem, że ty lubisz dzieci.

To był dobry moment na decyzję. Mogłam się odżegnać od swojej pasji, pragnień i marzeń, przynajmniej tylko teoretycznie, teraz przed nim, albo mogłam kazać mu wybierać, albo delfiny, albo ja, ryzykując, że wybierze delfiny.

– A dlaczego nie lubisz dzieci? – Wciągnęłam kaptur na głowę, bo znów zaczynał padać deszcz.

– Nie powiedziałem, że nie lubię, tylko że nie będę ich miał – sprostował. Zdawał się nie widzieć deszczu.

– Eee. – Uśmiechnęłam się i przyciągnęłam go do siebie, inicjując pocałunek, a ponieważ nigdy tego nie robiłam pierwsza, dał się wziąć z zaskoczenia. Potem założyłam mu kaptur.

– To nie będę miała dzieci i pojedę z tobą nad ten ocean – stchórzyłam.

– Nie no, nie rezygnuj ze swoich pasji – odpowiedział.

Potem już nie było nigdy tak samo. Spotykaliśmy się coraz rzadziej, może dlatego, że chodził na kółko biologiczne i bardzo się zaangażował w olimpiadę z tego przedmiotu. Namawiał mnie, żebyśmy razem wzięli udział, ale byłam dopiero w trzeciej klasie. Musiałabym nadrobić mnóstwo materiału, który średnio mnie interesował. Ale gdyby Maciek pokazał, że mu zależy, na pewno bym się postarała albo poudawała chociaż, że się staram. Ale najwyraźniej mu nie zależało. Trzymałam kciuki za olimpiadę, ale nie przeszedł do trzeciego etapu. Tak to bywa, kiedy kogoś interesuje tylko jeden aspekt jakiejś dziedziny. Może i znał wszystkie rodzaje małży, ale o glebie miał pojęcie mniej więcej takie, że nie występuje w oceanie.

– Nie martw się – mówiłam na jednym z naszych ostatnich spacerów. – Przecież to nie ma znaczenia na egzaminach.

– Jak to nie ma znaczenia? – pieklił się. – Absolutnie ma. Na pewno jest mnóstwo chętnych olimpijczyków na oceanografię. Jakoś w to wątpiłam.

– Na pewno nie – powiedziała z przekonaniem. – Może ci, co wygrali, chcą zostać botanikami albo ornitologami, albo...

– Co ty tam wiesz... – machnął ręką. – Nawet nie chciało ci się owadów nauczyć. Nic nie osiągniesz...

Stałam jak wryta.

– Naprawdę nic według ciebie nie osiągnę? – upewniałam się, a łzy zawodu mieszały się ze łzami złości.

– Nic z siebie nie dajesz. – Chłopak postanowił iść na całego. – Udajesz tylko zainteresowanie tym czy tamtym, ale nic nie robisz... Tak prześlizgujesz się przez życie.

Powinnaś zakończyć tę rozmowę i chodzenie. Zamiast tego postanowiłam się jednak dowiedzieć, co robię źle.

– Powinnaś dążyć do spełnienia swojej pasji... Do tego, żeby ci się udało...

– Dążę do tego i mi się uda! – wrzasnęłam, a ludzie się za nami obejrzeni.

– Nie krzycz tak – poprosił.

– Będę właśnie krzyczała, a ty mi nie zabronisz – bredziłam bez sensu. – Właśnie ty do niczego nie dojdiesz, bo uznajesz tylko ocean!

– A ty tylko owady! – odparował. – Albo i to nie...

Jeśli tylko tego się o mnie dowiedział podczas roku spacerów i obmacywania, to nie był dla mnie odpowiedni. Uznałam, że kwestię, że z kimś chodziłam, a potem z tym kimś zerwałam, mam na tle dziewczyn z klasy zaliczoną, może nie na piątkę, ale na mocne cztery. Niektóre i takiego Maćka nie miały w swoim licealnym życiu. Poszłam z nim jeszcze na studniówkę, bo naprawdę chciałam. Nie mogłam odpuścić tego wydarzenia, o które musiałam stoczyć bój z rodzicami. Musiałabym się przyznać, że już się z Maćkiem „nie przyjaźnię”, a nowa biała bluzka nie jest mi potrzebna. Ojciec pewnie uznałby, że kurtuazyjna